Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 41.

dnia 11. Września 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

TOM II.

(Ciąg dalszy).

Głosowanie miało nastąpić za dwa tygodnie; czasu przeto nie można było tracić. Stern otoczony swymi zwolennikami pił „mydlinki“ „Pod dziką wroną.“ Ryszard zaś o tej samej godzinie kończył list, którego osnowa była następująca:

„Drogi Zygmuncie! Zapewne już słyszałeś, co mnie spotkało, a znając mnie od dziecka, wiesz, ile w tem jest prawdy. Nie czas jednak zajmować się rzeczami, których bym na jednym arkuszu nie spisał; gdy się zobaczymy, opowiem ci wszystko szczegółowo, teraz zaś pomówmy o sprawach nie osobistych lecz publicznych Stern znalazł tu wielu zwolenników i jeżeli nic nie przedsięweźmiemy, niewątpliwie wyjdzie z urny. Wstyd by to był i klęska dla kraju. Ponieważ mając tu usta zamknięte, sam nic nie mogę uczynić, przeto Ty mój drogi Zygmuncie, udaj się do naszych sąsiadów i przypomniawszy im, jak sobie Stern z moim ojcem postąpił, skłoń ich do wspólnego zaprotestowania przeciw jego kandydaturze. Nie wątpię, że gdy szlachta całego obwodu protest taki napisze, właściciel *Teraźniejszości* p. Wyżynski, którego poznałem jako człowieka uczciwego, acz może zbyt słabego, sam go w swojej gazecie umieści, a wtedy pan Stern może na wieki wieków pożegnać się z mandatem. Nie sądzę, żeby szlachta była temu przeciwną, ojciec bowiem był bardzo lubiany, a że Sterna nie ma teraz w Ludaczowie, więc się go chwilowo i obawiać nie potrzebuje. Zresztą czy mogli by gorzej wyjść na jego nienawiści niż mój ojciec wyszedł na jego przyjaźni? Ja się ztąd oddalić nie mogę, aby nieprzyjaciele moi nie powiedzieli, żem uciekł; zresztą każdej godziny ojca się spodziewam. Twemu honorowi oddaję tę sprawę, która bądź co bądź nie jest moją prywatną, ale krajową. Ściskam Cię serdecznie — Twój Ryszard“.

W dni czternaście po wysłaniu listu powyższego, nasz przyjaciel siedząc w swoim pokoju, pisał:

„A więc upadł po raz trzeci, i mam nadzieję ostatni! Prócz żydów nikt na niego nie głosował. Strasznie musi być zagniewany i pewnie nigdy jeszcze tak Polakom nie złorzeczył jak teraz... Zygmunt spisał się znakomicie! Szlachta nie tylko zbiorowo szprotestowała, nawet, żeby skutek był pewniejszy, czegom się sam nie spodziewał, opowiedziała jego postępowanie z moim ojcem Tego p. Wyżyński nie mógł milczeniem pominąć, ogłosił więc protest w swojej gazecie i Stern przepadł. Jakże boleśnie zawiodła go przyjaźń tych, na których liczył... Czemu mu Żylewicz nie pomógł? Ręczę że w chwili krytycznej ten go pierwszy odstąpił. Zresztą kto wie w jakim stanie on się znajduje, i czy w ogóle mógł by wpłynąć na wybory... Wszak mój ojciec był u niego...

Czwartego dnia po owym dniu pamiętnym, kiedy to Żylewicz z krwią najzimniejszą cześć mi odbierał, aby mnie zabić moralnie, wpadł do mnie ojciec z dwoma swymi sąsiadami, a obadwa są temperamentu gorącego. Rozpłakawszy się nademną, ojciec z właściwą sobie porywczością, zapytał:

— Wyzwałeś tego łotra?

— Nie.

— Czemu?

— Bo ten człowiek nigdy jeszcze pojedynku

nie przyjął. Zresztą chociaż ze wstrętem, musiałem tę sprawę oddać sądowi.

Tu powiedziałem ojcu, co mnie do tego kroku skłoniło. Uwagi moje uznał za słuszne.

— Kiedy ty sercuńciu — zawołał — nie możesz się z nim bić, to ja mosterdzieju mogę. Wprawdzie nie wiem czy on szlachcic, ale skoro górą liberalizm, więc i Gozława może rąbać się z Żylewiczem.

Napróżno starałem się go odwieść od tego postanowienia, tłumacząc, że sekundanci tylko się skompromitują; ani ojciec ani jego świadkowie nie chcieli ustąpić. Widząc że ich nie przekonam, dałem pokój perswazjom. Ojciec został u mnie, szlachcice zaś poszli szukać Żylewicza. Półtorej doby go szukali. Dopiero na trzeci dzień, o wschodzie słońca, spotkali go jak z kawiarni do domu wracał. Mając go na oku, weszli za nim do domu, wkrótce jednak zjawili się u mnie oświadczając, że Żylewicz bić się nie będzie.

— I cóż wam powiedział mosterdzieju?! — krzyknął mój ojciec.

— Że jak ksiądz za to nie odpowiada co na kazaniu mówi, tak i dziennikarz nigdy się z tego nie tłumaczy, co w gazecie pisze.

— A szubiennik! Więc jemu zdaje się mosterdzieju, że bezkarnie można uczciwych ludzi napadać? Poczekaj łotrze, nauczę ja ciebie rozumu! Popamiętasz ty mosterdzieju ruski miesiąc!

To powiedziawszy ojciec wybiegł z pokoju, a wybiegł tak prędko, że go nie miałem czasu zatrzymać. W godzinę wrócił zmęczony, spocony i czerwony jak piwonja. W ręce trzymał swoją trzcinę hiszpańską na pół pękniętą. Domyśliłem się zkąd wracał...

— A tom dał temu łotrowi! Ledwiem się mosterdzieju dopytał gdzie ten gałgan mieszka! Zastałem go w łóżku... chrapał w niebogłosy. Zbudziłem go najpierw, aby mosterdzieju nie powiedział, żem go znienacka napadł, powiedziałem kto jestem i po co przychodzę, a potem jak się dobiorę do jego skóry, tom mu mosterdzieju mało sto wsypał! Ryczał jak bydlę, a ja dalej i dalej! Wiesz co Rysiu, byłbym go tam jak psa utłukł, gdyby nie żona i dzieci, które mnie z płaczem opadły. Pomyślałem sobie, co winne to biedactwo, że ma takiego ojca. Darowałem mu więc resztę... ale com mu wlepił, tego mu już sam pan Bóg nie odlepi. Teraz mosterdzieju jeżeli chce, niech mnie skarzy o obrazę honoru.

Przykro mi było, że ojciec dopuścił się tak doraźnej egzekucji, źli bowiem mogą sądzić, że jam go o to prosił, wszakże z drugiej strony to mnie pociesza, że sprawy tego rodzaju bywają zwykle w tajemnicy zachowywane...

Zaledwie na ojcu wymogłem że odjechał; koniecznie chciał u mnie zostać do rozprawy ostatecznej. Wytłumaczyłem mu jednak, że gospodarstwo jego obecności potrzebuje. Na odjezdnem rzucił mi się jeszcze na szyję i zawołał:

— Nie lepiej ci to było sercuńciu na wsi zostać, i razem z ojcem pracować, niż wdawać się z tem plemieniem gazeciarskiem bez czci i wiary. Gdybyś był został, Starawieś nie była by poszła psiemi drogami a i mnie by z tobą było weselej. Zawsze co własność mosterdzieju, to własność, a nie dzierżawa.

— Więc i na Podolu nie bardzo dobrze? — mimowolnie zapytałem.

Machnął tylko ręką i odjechał".

. . . . „Rzecz szczególna, jak się w tych kilku tygodniach postarzałem? Twarz mi się pomarszczyła, na głowie połowa włosów siwych! Zdaje mi się, że się nie martwię, sprawa moja bowiem jasna i czysta jak słońce, a przecie jakoś mi ciężko na sercu... Nie byłbym nigdy uwierzył, że tak wielką może być moc oszczerstwa!... A jednak mimo że na tej drodze same ciernie znalazłem, przyszedłszy drugi raz na świat, znowu bym na nią wstąpił... Potęga nie widzialna, siła niepojęta ciągnie mnie w tę walkę, z której ledwie nam wolno wynieść zadowolenie, wypływające z uczciwie spełnionego obowiązku. Gdyby nie ta siła, któż z ludzi chciałby na to się narazić, co niemiłe i boleśne? Czyż każdy nie starał by się raczej tak swojem życiem pokierować, by mu spływało spokojnie i wesoło? Ona jednak ustawia nas jak tych żołnierzy, którzy po każdym strzale, robiącym szczerby w ich szeregach, ściągają się w zwartą masę, nie pytając czy tam bezpiecznie, gdzie przed chwilą padli ich bracia. I takim duchem ożywieni, idą ciągle naprzód, póki nie zwyciężą!

Jaka szkoda, że mi Bóg nie dał talentu autorskiego. Życie moje jeszcze niedługie, a ileż w niem już doświadczyłem! Romans na tem, co mnie spotkało, osnuty, byłby dość zajmujący... Nie mając

twórczości, spisuję przynajmniej moje pamiętniki, aby to nie zginęło, co może warte zapamiętania...

Szczególni ci ludzie! Jacy oni powierzchowni, konwencjonalni, jak z nich każdy patrzy jedynie na formę, nie usiłując zgłębić treści rzeczy, jak mało między nimi charakterów! Nie dziwię się tym wszystkim, których mało znałem, że spotkawszy mnie na ulicy, bądź udają że mnie nie widzą, bądź uciekają jak od zapowietrzonego. Im się zdaje, żem zgubiony, więc do trupów mnię liczą! Ale jakże dziwię się takiemu n. p. mężowi, jak Ojciec Samuel. Jeźli kto, to on, ten sługa Boży, zakonnik, człowiek nie mający z ludźmi prawie żadnych stosunków, nie powinien by się przecie kierować względami światowemi. Tymczasem gdym po tej strasznej katastrofie wszedł do jego celi, aby w przyjacielskiej z nim rozmowie nabrać chęci do życia i otuchy do dalszej walki, zdobył się ledwie na kilka słów cieplejszych, i widocznie był uradowany, gdym odchodził. Czyż by i on podzielał zdanie tego tłumu bezmyślnego, który na wzór rzymskiego pospólstwa, przypatruje się chętnie jak niewinni giną na życia arenie? Nie śmiem go o to posądzić, raczej zaliczę go do kroci ludzi uczciwych, lecz słabych, którzy bojąc się opinji publicznej, często bez zastanowienia, a częściej nawet wbrew woli własnej jej wtorują!

Mówią że głos ludu jest głosem Boga... O! krótkowidzący, jakież kłamstwo powtarzacie! Klaskali gdy Stern mówił, klaskali gdym ja go zbijał, klaskali gdy Żylewicz przeciw mnie wystąpił, i byliby raz jeszcze klaskali, gdybym był przekrzyczał mego przeciwnika! Oto opinja... I nie tylko u nas taka. Kiedy głowy Girondystów padały na rusztowaniu, bili brawo Dantonowi; kiedy Robespiérre ścinał Dantona, bili brawo Robespiérrowi, a kiedy Robespiérra ścinano, tłum bił brawo jego sędziom! I któż był tak zmienny? Oto ten sam lud francuzki, który rzutem genjalnym przeistoczył społeczeństwo świata starego! Ach! lud wszędzie ludem, tłum wszędzie tłumem, i choćbyście samymi mędrcami jednę salę napełnili, ten ich zwycięży, kto zagra na ich uczuciu. Ludy i tłumy nie rozumieją, lecz czują... Jakże więc są zabawni ci co mówią, że bezmyślne uczucie a Bóg to jedno!..."

. . . . „*Teraźniejszość* bardzo musi być szczęśliwa, żem się jej z drogi ustąpił. Korzysta też z tego jak umie, i nigdy jeszcze tak głośno nie powtarzała, że Austrja Polskę zbawi. Zabawni politycy! Im się ciągle zdaje, że ktoś koniecznie musi nami się zajmować, i nikt im tego z głowy nie wybije. Niegdyś myślał o nas ciągle Fryderyk W. potem Napoleon I. nigdy spać się nie położył wpierw nie zapytawszy, co Polacy porabiają; później Napoleon III. od rana do nocy dumał jak nam pomódz, a teraz znowu Austrja o nas myśli. I tłumacz im, że każde państwo myśli li o sobie, a cudze interesa zawsze dla swoich poświęci, ani ci nie uwierzą! I powiedz im, że Austrja w razie gdyby jej to interes nakazywał, gotowa by nas rzucić jak rękawiczkę zużytą, oni zawołają żeś odstępca, żeś zdrajca.

O! jakże łatwo tem słowem złowrogiem nasz tłum szafuje! Krukowiecki zdradził, gdyż poddał Warszawę wpierw się przekonawszy, że jej nikt utrzymać nie potrafi, ale Thiers nie zdradził, mimo iż poddał Francję wielką i przyjął uciążliwe warunki pokoju. Krukowiecki został zdrajcą, a Thiersa nazwała Francja swoim wielkim synem! Co jednak my, Polacy, bylibyśmy o tym samym Thiersie powiedzieli, gdyby on był w ten sposób naszemi losami pokierował? O! my byśmy go byli pewnie ukamienowali.

Lud wszędzie czuje, ale podczas gdy gdzieindziej przewódzcy rozumni jego uczuciem kierują, u nas i ci niestety, którzy na jego czele stoją, tak samo jak on czują. Kiedyż jednak zaczną przynajmniej oni myśleć? Gdybym nie wierzył, że ta epoka już bliska, musiałbym chyba zrozpaczać o przyszłości mego narodu.

Mówią żem odstępca, bo nie wiedzą, że program z którym wystąpiłem, pojawia się niemal na każdej karcie naszych dziejów, że w niego ci wierzyli, którzy Iwanowi Groźnemu ofiarowywali polską koronę, którzy na czole Władysława IV. chcieli widzieć koronę Polski i Rosji, którzy wespół z Adamem Czartoryjskim pracowali nad połączeniem wszystkich ziem polskich pod panowaniem Aleksandra I. Czemuż tamtych odstępcami nie nazywano? Program może być niemiły a mimo to zbawienny. Wszak i lekarstwo bywa czasem wstrętne, a jednak skutkuje.

Ale choćbym się nawet omylił, bo przecie *errare humanum est*, to czyż dla tego żem zbłądził, na potępienie zasługuję? Nie sądźcie, byście sami nie byli sądzeni! Wszak jam nie powiedział ze we mnie początek i koniec wszelkiej prawdy, wszak prawda bezwzględna tylko u Boga, ja jedynie

żądałem, by się nad tem zastanowiono, co za dobre poczytuję i nie zatykano sobie uszu na głos rozumu. Jeżelim się omylił, chętnie ustąpię, wpierw jednak musicie błąd mi udowodnić... Nic łatwiejszego jak rzecz potępić, której się nie rozebrało.. A więc przypatrzcie się memu programowi i zastanówcie się nad nim spokojnie, bo czas najwyższy wezwać rozum na pomoc! Ach! gdybyście raz chcieli słuchać rozumu?!"

. . . . „O! jak mi smutno! Jestem sam, sam jeden wśród ludzi, którzy mnie nienawidzą. Mój ojciec kocha mnie, lecz mnie nie rozumie, to też przed nim, choćbym chciał, nie mogę mej duszy wyspowiadać. Gdybyś Ty żyła moja matko droga, miałbym w Tobie pocieszycielkę... Tyś jednak umarła, i tylko słowa twoje, które co dzień odczytuję, krzepią moje siły i na duchu mnie wzmacniają... O! jak mi smutno! Na szerokim świata przestworzu, jest jeszcze jedna istota, której obraz prześladuje mnie w dzień i w nocy, mimo że go chciałem wydrzeć z pamięci, którą radbym widzieć, mimo że jej unikam, którą... alboż wiem, mój Boże, co dla niej czuję?

Nie chcę by nasze drogi zeszły się jeszcze kiedy, a jednak głos wewnętrzny ciągle mi podszeptuje, że gdyby się zeszły, byłbym szczęśliwy!. . Szalony! mnież o szczęściu marzyć? Czy to szatan tak mi szepce, czy anioł? Czemuż ją poznałem? Czyż nie byłbym stokroć spokojniejszym, gdybym jej był nigdy nie widział?

Ach! jak mnie coś w sercu zabolało i jaki straszny szum w uszach!..."

ROZDZIAŁ XII.

PRZED ŁAWĄ PRZYSIĘGŁYCH.

Skarga o obrazę honoru, którą Ryszard Gozdawa wniósł przeciw Żylewiczowi, była najpierw rozstrząsaną w Radzie sądu karnego. Każdy może skarżyć, wszakże tylko Sąd rozstrzyga, czy skarga jest uzasadniona i czyli oskarżonego należy pociągnąć do odpowiedzialności.

Nad podaniem Gozdawy długo radzono. Sądownictwo austrjackie, trzymające się od czasów niepamiętnych litery prawa dość zagmatwanego, tłumaczy dowolnie każdy paragraf, i z tąd pochodzi, że w Austrji, w jednej i tej samej sprawie, w trzech instacjach sądowych, nieraz trzy odmienne wyroki zapadają.

Gdzie taki kodeks karny, tam prywacie szerokie pole zostawiono, zwłaszcza że Austrja, będąc państwem, nie narodem, we własnym interesie przestrzega, by sędziowie byli urzędnikami, nie zaś najsprawiedliwszymi kraju obywatelami. Dla tego to w Austrji często się zdarza, że ludzie najuczciwsi bywają przed kratki stawiani, winni zaś chodzą bezkarnie, żartując sobie ze sprawiedliwości.

W Radzie, która zastanawiała się nad skargą naszego przyjaciela, zasiadał pewien sędzia, nazwiskiem sędzia Czapek, który starał się przekonać swoich kolegów, że w artykule Żylewicza nie ma obrazy honoru. Według jego twierdzenia, piszący umieścił w nim tylko różne pogłoski i nigdzie stanowczo nie twierdził, żeby Gozdawa był szpiegiem, lub żeby dla pieniędzy otruł jakąś tam kobietę. Wprawdzie z artykułu można się tych rzeczy domyślać, lecz kto niechce, może się ich także nie domyślać. Sędzia utrzymywał dalej, że i w powiedzeniu: „człowiek ten był zawsze bardzo podejrzanej moralności" nie ma znamion obrazy honoru, każdego bowiem można o coś podejrzewać, w czem jednak nie mieści się stanowcze twierdzenie, by tak było w rzeczywistości. Pan Czapek wniósł przy końcu długiego wywodu, by skargę nie tylko odrzucić jako nieuzasadnioną, lecz żeby jeszcze przeciw Gozdawie wdrożyć śledztwo karne, aby się przekonać, czy on w rzeczy samej nie otruł owej kobiety.

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że pan Czapek doszedł aż do tak potwornego wniosku, jedynie wskutek błędnego tłumaczenia prawa; w nim prywata przeważała. Najpierw jako dobry znajomy, nawet przyjaciel Żylewicza, chciał jemu dopomódz; następnie pragnął zemścić się na Gozdawie. A za co? Oto panu Czapkowi zdawało się, że jest malarzem, i więcej niż sądownictwu sztuce się oddawał, a ponieważ nie miał talentu ani do pędzla ani do jurisprudencji, więc złośliwi mówili o nim, że jest najlepszym malarzem między prawnikami, najlepszym zaś prawnikiem między malarzami. Pan Czapek chcąc im udowodnić, że się na sztuce nie rozumieją, zebrał raz wszystkie swoje arcydzieła i umieścił na wystawie obrazów. Wprawdzie komitet, wystawę urządzający nie chciał ich przyjąć, Żylewicz jednak, który do komitetu także należał, poparł przyjaciela energicznie i tym sposobem jego utwory znalazły się obok dzieł Matejki, które miały przyćmić. Ryszard ujrzawszy je na wystawie, napisał o nich

co myślał, dziwiąc się, że takie bohomazy można było publiczności za pieniądze pokazywać. Odtąd pan Czapek, jak każda mierność obrażona, był wrogiem Ryszarda Gozdawy.

Gdyby było zwyciężyło w Radzie jego zapatrywanie, nasz przyjaciel był by zgubiony. Oszczerstwo było by na nim wiecznie ciężyło, on zaś nie miał by możności oczyszczenia się z zarzutów. Ale pan Czapek chciał tego. Niech ginie człowiek, który ośmielił się nazwać go partaczem!

Na szczęście w Radzie zasiadał jeden sędzia rozumny, i sprawiedliwy i wymowny. Ten, gdy inni jego koledzy zaczynali chwiać się i skłaniać ku Czapkowi, energicznem wystąpieniem ocucił ich z letargu i Gozdawę ocalił. Skarga została przyjęta i przeciw Waleremu Żylewiczowi śledztwo wdrożono.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZAPYTANIE.

Najnowsza Sielanka Ebersa *).

ZARZĄDCZYNI I ZARZĄDCA.

— Słona woda morska, a oliwa, to u was wszystko jedno! Czyż nie zgasiłam dawno mojej lampy? Czy nie dość jasno oświetlają płomienie ogniska? Czy macie takie oczy zaspane, że nie widzicie brzasku, który coraz jaśniej do nas zagląda? Oliwki jeszcze nie wyciśnięte, a zapas przeszłoroczny na ukończeniu, wiecie również ile nam owocu w tym roku łotry złodzieje zabrali, ale szkoda psuć sobie piersi z wami! Chętniej raczej by wróble zboża do stodoły naniesły, niż by wy się postarały aby dobro pana waszego oszczędzać.

W ten sposób łajała Semestra, siwowłosa klucznica Lysandra z Syrakuzy, dwie dziewki Chloris i Doryppę, które znużone obracały bezmyślnie młynek ręczny, nie zważając na knot w oliwie pływający i płonący jasnem światłem.

Doryppa młodsza od Chloris, sięgnęła ręką do swojego kruczego warkocza, który dotąd był jeszcze w wielkim nieładzie, a rozproszone na wsze strony krótsze i dłuższe kędziorki z uwięzi splotów uciekające, bądź gęstą czarną zasłoną na czoło spadały, bądź zwieszały się na szyję i ramiona koloru bronzu ciemnego. Z tych splotów rozczochranych wyjęła strzałę pozłacaną i nią przydusiła knot, topiąc go w oliwie, jednocześnie zaś w te słowa do klucznicy przemówiła:

— Do tegoż przyjść musiało? Jeszcze nie można rozróżnić czarnej nitki od białej, a ja mam gasić lampę, jak gdyby ten pański dom był żebraka lepianką. Dwieście dzbanów pełnych oleju najpyszniejszego stało jeszcze przed tygodniem w szpichlerzu. Dlaczegoż pan kazał niemi okręt wyładować i odesłał pod opieką Mopsusa i brata swojego gdzieś w świat daleki?

— A dlaczego owocu dotąd nie zbierają? — odezwała się Chloris. — Oliwki dawno dojźrałe a złodziejom wygodnie kraść, skoro wszyscy nasi ludzie zamiast po nocy pilnować, pojechali jako wioślarze na okręcie do Messeny. Mamy więc kroplami oliwę oszczędzać, a nasz pan posiada więcej drzew rozłożystych, niż dni jest w roku. Wiele dzbanów oliwy byłoby się dotąd zebrało tylko z owocu, który już na ziemię opadł? U sąsiada Protarcha dawno już po zbiorze, i gdybym była Lisandrem...

— Toby dawno był poszedł majątek na cztery wiatry! — przerwała jej gniewnie klucznica. — Co prawda, i mnie nie łatwo było rozłączyć się z tym darem Bogów złotopłynnym, ale cóż miałam robić? Przecież brat pański Akiphron tego żądał, aby zrobić wielki interes na zamianę; Alkiphron, trzeba wam wiedzieć, jest nadzwyczaj mądry i biegły w takich sprawach i ma rękę szczęśliwą; bardzo więc łatwo mu przyjdzie złotopłyn, który my tutaj mozolnie z oliwek wyciskamy, przemienić na brzęczącą monetę. To moje dziecię, bom go własną piersią jako mamka wykarmiła. My tu na wsi majątku przymnażamy pracowitością, oszczędzaniem i wytrwałością; kupiec zaś w mieście, musi dobrze oczy otwierać i chwytać w lot sposobność, mój Alkiphron atoli był już z lat dziecięcych najmędrszym z trzech synów Dionysa, a gdy szło o podział czegoś smacznego, to zawsze potrafił dla siebie największą porcję zachować. Jeszcze za życia jego matki napiekłyśmy świeżych kołaczy, i ona kazała dzieciakowi, aby wybrał z nich najpiękniejszy, który zaniesionym będzie do świątyni na ofiarę. I co myślicie że dzieciak matce odpowiedział? — „Jeżeli mam wybierać nieomylnie, dobrzeby było, gdybym wszystkie najprzód spróbował“ — a gdy potem Klytemnestra...

— Czy Alkiphon młodszy od naszego biednego pana? — wpadła jej w słowo Doryppa.

To były kołacze sezamskie ze słodkim miodem po wierzchu — odrzekła klucznica, której słuch stępiał z wiekiem, i która zwykle fałszywie cichszą mowę rozumiała. — A sznur czy gotowy do bielizny?

— Ja nie pytałam o kołacze — zaśmiała się Doryppa, zamieniając z Chloris spojrzenie figlarne—chciałam tylko wiedzieć...

— Głuche jesteście, dziewki nieznośne, jak pień głuche! — zakrzyczała dziewczynę Semestra — I wiem

---

*) Nazwisko Ebersa znane jest dziś nie tylko w Niemczech, ale w całym świecie cywilizowanym. Żaden naród nie ma dziś równego mu znawcy świata starożytnego i żaden pisarz nie wlał tyle co on piękna i prawdy w swoje powieści sięgające epoki rozkwitu greckiej cywilizacji i panowania egipskich Faraonów. Ponieważ *Świat powieściowy* postanowił obznajamiać swoich czytelników z najcelniejszemi płodami literatury tak polskiej, jak zagranicznej, przeto umieszczamy najnowszą sielankę Ebersa, która cieszy się dziś rozgłosem europejskim. Wprawdzie nie ma w niej sztucznych efektów, lecz za to jest cudowny koloryt i piękno rozlane w każdym obrazie.

nawet z czego. Mało sto razy wam zakazywałam, żebyście prosto z tańcu, spocone nie tarzały się dla ochłody w trawie rosy pełnej. Jakże często odbieram od was całkiem przekręcone odpowiedzi gdy was o co pytam!

Obiedwie śmiechem parsknęły.

W jeden akord dźwięczny zlały się te dwa tony, srebrzysty cienki śmiech jednej, z niższym, pełniejszym, prawie męzkim drugiej, dwie pary oczów czarnych spotkały się znowu z drwiącym wyrazem, gdyż dobrze wiedziały, kto tu jest głuchym, a kto ma uszko czujniejsze jeszcze od słowika ukrytego w świeżo zieleniejącem drzewie figowem, który przed wschodem słońca to wywodzi trele miłośne, to z pełnej piersi skarzy się rozżalony. Zdziwiona i rozgniewana wypatrzyła się stara Semestra na obiedwie śmieszki, wreszcie w dłonie plasnęła:

— Do roboty, nicponie! próżniaczki! Ty Chloris przygotój wszystko do śniadania, a ty Doryppa zobacz, czy pan czego nie potrzebuje i przynieś drzewa na ognisko. Skończcież już raz to głupie hihotanie, wiecie, że głośny śmiech przed wschodem słońca sprowadza łzy na wieczór. Jeszcze wam z głowy nie wyszumiały żarty i zaczepki parobczaków przy winobraniu. Zwijać mi się prędko, a żadna mi wprzód jadła tknąć nie śmie, póki się nie oczesze i nie ogarnie po ludzku!

Dziewczęta trąciły łokciami jedna drugą i opuściły komnatę kobiecą, w której teraz coraz jaśniej się robiło od różowej jutrzenki.

Było to miejsce obszerne i wspaniałe, otoczone w koło słupami marmurowemi, które świadczyło o bogactwie właściciela. Posadzka, na której stał stołeczek klucznicy, była kunsztownie w mozajkę układana z kamieni różnokolorowych, przez artystę z miasta Syrakuzy i przedstawiała obraz bożka Dyonizusa i Hyady, które służąc mu, tegoż otaczały, a w grupach różnokolorowych, dary bóstw które strzegą pola i ogrody i także przedstawiała bożka nizejskiego. Cały obraz był ujęty w ramy z pięknie wyrobionego wieńca z lilji białych.

Z marmuru czerwoniawego, było zbudowane ognisko, przy którem siedziała Semestra, wielkiem skrzydłem z dzikiej gęsi, zgartując do środka żar rozpryskujący.

Doryppa wróciła, oświadczając w krótkich słowach, że pan dopiero gdy słońce dobrze podejdzie, życzy sobie wyjść na świeże powietrze, niosła również, jak jej przykazano sporą wiązkę drew suchych a osobno kilkadziesiąt szyszek, które są doskonałe na podpałkę i jasnym płomieniem obejmując drzewo ze wszech stron, zamieniają w jednej chwili stos cały, w słup ognisty.

Iskry trzeszcząc, rozpryskiwały się na około a słup dymu gorącego wznosił się prosto w górę, przez otwór, łącząc się z chłodnem rannem powietrzem, gdy jednak otworzono drzwi przeciwległe, pociąg wiatru skierował cały słup szary na komnatę bez sufitu u góry i dym zasłonił na chwilę siedzącą u ogniska Semestrę.

Mocno zakaszlana ocierała sobie oczy połą swojego niebieskiego *peplosu*, patrząc z niechęcią na wchodzącego, który o tak wczesnej godzinie, śmiał przestąpić próg komnaty dla niewiast przeznaczonej.

Skoro poznała wchodzącego, skinęła mu głową przyjacielsko, ale z pewnym odcieniem wyższości, podniosła się trochę lecz znowu usiadła, zamiast postąpić na przeciw wchodzącego. Poprawiła się jeszcze lepiej na stołku i pokaszlując bąkała dość kwaśno, jakieś słowa niezrozumiałe.

— Ciesz się! — pozdrowił staruszek wchodzący Semestrę. głosem niskim basowym. — Użycz mi miejsca przy twojem ognisku, gdyż ranek bardzo chłodny. Nim *Helios* zejdzie, każe marznąć swoim wiernym aby z tem większą wdzięcznością, przyjmowali dar ciepła, które spływa na nas w raz z jego złotemi promieniami.

— Masz słuszność — odrzekła Semestra, która nie wiele słów połapała z mowy starego — powinno się być wdzięcznym, za dar ognia i ciepła, ale dla czego ty wychodzisz w twoim wieku, teraz gdy ledwie na drzewach listki pękać zaczynają, w samym *Chitonie*, bez płaszcza i bez sandałów, do tego tak wcześnie z rana? Wy bo tam różnicie się pod wielu względami od reszty ludzi i skąpicie we wszystkiem, ale kapelusza mógł byś sobie nie żałować, bo włos twój pobielał już, tak jak i na mojej głowie.

— A do tego opuszcza mnie zdradziecko — zaśmiał się stary — i zostawia mi łysą pałkę. Wam niewiastom, włos jest wierniejszym towarzyszem, może przez wdzięczność, że go tak starannie trefície. Co do kapelusza, nie potrzebuję go, jak również płaszcza i sandałów. Stary rolnik nie pyta o chłód poranny. Za młodu, byłem prawie tak biały, jak córeczka pana twojego, Xantha jasnowłosa, a teraz od głowy aż do stóp, gdzie tylko chiton wełniany człowieka nie okrywa, wyglądam jak mięso dobrze w dymie uwędzone a ta ciemna barwa, to jakby suknia osłaniająca, nie tylko przed zimnem, ale i przed gorącem. Białego nic już na mnie nie ma, prócz brody, kilku kosmyków na głowie i dzięki Bogom, tych dwóch rzędów zębów dotąd nienaruszonych.

Po tych słowach, stary Jason pociągnął palcem czarnym i od pracy stwardniałym, po obu szczękach silnych i doskonałych, na co klucznica odpowiedziała, sznurując usta starannie, zapewne aby ukryć wielkie luki po za temi.

— Wam mężczyznom, przysługują zęby tak wiernie i tak długo, jak nam włosy, chociaż dzielniej tychże od nas używacie. Teraz atoli, pokaż co umiesz. Mamy na śniadanie dobrą serną zupę, tymiankiem zaprawioną, z wędzonką z kozlęcia. Jeżeli dziewka trochę się pospieszy, nie potrzebujesz długo na nią czekać. W naszym domu każdy, nawet gość mniej przyjaźnie dla nas usposobiony, jest zawsze pożądany i gościnnie przyjęty.

— Nie o jadło mi idzie i nie po to, tak rano wstąpiłem. Wyszedłem z domu po śniadaniu. Mam coś na sercu, o czem chciałbym pomówić z tobą mądrą i wierną zarządczynią, a nawet powiedziałbym panią tego domu i uczciwą opiekunką córki jedynej twojego pana.

Semestra wyciągnęła szyję chudą, ku staremu, wpa-

trzyła się w niego okiem przenikliwym, i krzyknęła na Doryppę, która koło ogniska się krzątała:

— Chcemy być sami!

Dziewczyna wolnym krokiem ku drzwiom zdążała i zaczaiła się po za słupem, aby z tamtąd podsłuchiwać, Semestra atoli spostrzegła ją tamże, wstała z siedzenia a pędząc ją przed sobą prętem mirtowym, który w ręku trzymała:

— Żeby mi tu nikt wejść nie śmiał, póki nie zawołam! — gniewnie zawołała. — Nawet Xantha niech nam nie przeszkadza.

— A jednak sami nie zostaniecie, gdyż do takiej pary przyłączy się zaraz Aphrodita i wszystkie Eroty — zahihotała dziewczyna, chyżo próg przeskakując i rzuciwszy z trzaskiem drzwi za sobą.

— Co ona powiedziała? — spytała Semestra patrząc z niedowierzaniem za odchodzącą. — Mówię ci Jazonie, to się nie da opisać, ile ja znoszę z temi dziewkami, szczególniej od kiedy pogłuchły.

— Pogłuchły? — powtórzył stary zdziwiony.

— Ledwie kiedy, niekiedy słówko zrozumieją a nawet Xanta, która dopiero lat siedmnaście skończyła, zaczyna cierpieć na głuchotę.

Piękne rysy starca, rozjaśnił uśmiech przelotny, podnosząc głos przemówił pochlebnie:

— Nie każdy może się pochwalić, tak ostrym i doskonałym słuchem, jak ty pani Semestro, ale masz czas posłuchać mnie?

Klucznica skinęła głową łaskawie, oparła się o słup najbliższy, obiedwie dłonie złożyła na swoim kijku mirtowym i całem ciałem naprzód się podała ku mówiącemu, aby okazać iż myśli słuchać z uwagą i nie radaby słówka jednego postradać.

Jazon stał naprzeciw niej, a gdy się tak nawzajem oczami mierzyli, ona podobną była do kotki ostrożnej a szybkiej, która czeka i wygląda napaści od ciężkiego i powolnego ale silniejszego od niej psa owczarskiego.

— Wiesz — zaczął stary — że gdyśmy oboje, a dawne to już temu lata, ty jako mamka, a ja jako klucznik, przyszli w te strony, cały ten wielki obszar należał niepodzielony do ojca naszych panów dzisiejszych. Bogowie obdarowali starego trzema synami. Najstarszy Alkiphron, któregoś ty karmiła gdy był niemowlęciem, a później gdy podrósł trochę, niańczyła, udał się za granicę, został wreszcie kupcem bogatym w Messenie a po śmierci ojca, gdy się trzej synowie majątkiem dzielili, zabrał gotówkę w srebrze i złocie, ziemię zaś do podziału braciom zostawił Mój pan Potarch, jako średni, został w starej siedzibie, najmłodszy Lisander zbudował sobie ten dom okazały. Pod naszym dachem zakwitł kwiat jedyny, piękny i wyniosły Phaon, pod waszym Xanta czarująca. Pan mój popłynął do Messeny nie tylko aby waszą i naszą oliwę spieniężyć ale także, aby pod tym pozorem, oglądnąć tamże bogatą dziedziczkę o której mu brat pisał. Życzy jej sobie na synowę, ja myślę atoli iż Phaon stworzony dla Xanty a Xanta dla niego. Brakuje tylko Hymenu, ażeby...

— Hymen według ciebie, ma ich skuć wzajemnie? — przerwała mu Semestra. — Z bogatemi dziedziczkami, sprawa nie łatwa, nie dadzą się zerwać od pierwszego słowa, ni to jarzyna z krzaku przy drodze. Pogardziła zapewne wiejskim kawalerem, więc teraz i Protarch i ty raczyliście uznać, iż Xanta nie złą byłaby dla niego, a łatwiejszą do dostania i że wtedy zagarnęlibyście znowu cały majątek.

— I byłby w jednym ręku, jak za czasów Dyonizusa.

— Z czego wybyście jedni korzystali.

— Korzyść byłaby wzajemna, od kiedy pan twój spadł nieszczęśliwie z wysokiego muru, winnicę otaczającego, brakuje tu gospodarza i nie jedno idzie, jakby iść nie powinno.

— Co się chce widzieć, to się widzi! — zawołała Semestra. — Nasz majątek w niczem waszemu nie ustępuje.

— Chciałem tylko powiedzieć...

— Że waszego Phaona potrzeba, aby naszego pana zastąpił. Ja o tem myślę inaczej, a zresztą Lysander jest coraz zdrowszy i nie długo sam na nogi stanie.

— Zawsze zdrowie odzyskując będzie spokoju potrzebował a ponieważ od śmierci naszych pań zatargi na chwilę nie ustają...

— My wam pewno spokoju nie zakłócamy.

— A nam każda sprzeczka jeszcze wstrętniejszą się wydaje, ale jak często kłócą się i guzy sobie nabijają nasi pasterze i winiarze o źródło, które wspólnie do nas należy, a piękny taras nad morzem z ławką marmurową, co raz więcej się psuje i całkiem wreszcie zniszczeje, gdyż pan twój utrzymuje, iż koszta naprawy my sami powinni ponosić.

— A ja go w tem mniemaniu, codziennie umacniam. Myśmy łożysko strumienia wyprostowali i oczyścili, więc pan mój słusznie żąda, ażeby Potarch naprawił i wzmocnił mury tarasy. My nie ustąpimy, gdyż po naszej stronie sprawiedliwość, a jeżeli wy...

— Jeżeli my, również uparci się okażemy, będzie to właśnie powodem do sprzeczek i kłótni, którym chciałbym przeszkodzić, łącząc Phaona z waszą Xantą. Lysander przyzwyczajony iść za twoją radą, jak gdybyś mu była matką rodzoną. Trzeba też przyznać, iż pielęgnujesz biednego chorego, jakby matka lepiej nie potrafiła i gdybyś tylko chciała...

— Lysander ma inne plany, a ojciec Phaona szuka przecie dla niego bogatej dziedziczki!

— Ale pewno nie zapewni tem szczęścia młodzieńcowi, a ja też nie przyszedłem mówić z tobą w imieniu Protarcha.

— Więc sam ten planik uknułeś? myślę jednak, iż ci się nie uda go przeprowadzić, gdyż mój pan ma co innego w głowie.

— To staraj się go dla nas pozyskać i nie tylko dla nas, ale dla największego dobra domu tego.

— Nie, nie, nie dla tego domu, tylko dla was. Mnie twój plan wcale się nie podobał.

— I dla czegóż?

— Bo nie chcę tego, czego wy chcecie.

— Bo nie chcę! Otóż to podstawa najważniejsza uporu niewieściego!

— Być może, ale nie u mnie; ja dobrze wszystko naprzód rozważam. I aby ci dać tego dowód, powiem ci iż Alkifron w Syrakuzie, naszego pana brat najstarszy, chociaż miał pod ręką ową bogatą dziedziczkę, nie dbał o nią wcale i wydała mu się zapewne za pośledniа na synowę, ale w liście do mojego pana pisanym, prosi dla swojego syna Leonaxa o naszą słodką dzieweczkę. Z radością daliśmy mu słowo i dziś jutro przyjedzie wraz z twoim panem i z konkurentem aby poznać narzeczoną.

— Jednak ja przy swoim obstaję. wasza Xantha to para z naszym Phaonem i gdybyście chcieli działać w duchu Dyonizusa, jako ludzie wyrozumiali...

— A czyż to Alkiphon, najlepszy i najmędrszy z ludzi, nie jest również dzieckiem Dyonizusa? Jego synowi najstarszemu życzę więc, aby posiadł wraz z ręką Xanthy, ten piękny majątek a gdy syn ojca tak czynnego i bogatego, znajdzie się raz tu na gruncie i zacznie jako Xanty małżonek rozkazywać, stać go będzie na to, aby nędzny kawałek muru naprawić i kilka nowych ławek marmurowych kazać wyciosać.

— Staremu na te słowa wszystka krew do głowy uderzyła i z gniewem zawołał:

— Do niesprawiedliwości, łączysz urąganie. Wiemy o tem dobrze! Aby się przypochlebić twojemu wychowańcowi ukochanemu, gotowaś nas wszystkich uczynić żebrakami. Jeżeli Lysander wyda córkę za Leonaxa, będzie to twojem dziełem i tylko twojem, my atoli...

Semestra, nie była tak łatwa do przestraszenia, z dumą się wyprostowała a podnosząc w górę kij mirtowy, przerwała staremu głosem drżącym z oburzenia:

— Masz słuszność! Do Alkiphrona lgnie to stare serce i dziś jeszcze żywiej bije, skoro usłyszy, iż kto bodaj imie wspomina ukochanego, wy zaś co prawda nie staraliście się wcale aby nas pozyskać. Przeszłej jesieni, mieliśmy obfity zbiór wina, brakło nam sakw skórzanych, bośmy się tyle płynu nie spodziewali. Gdyśmy was prosili o pożyczenie tychże...

— Odmówiliśmy, bośmy sami nie wiedzieli w co zlewać tę łaskę Bogów.

— A kto moją siwą kotkę, ubił zdradziecko?

— Dostała się do Phaona gołębnika i udusiła dwoje młodych od najpiękniejszej pary różowych garłaczy.

— To kuna była, ale nie moje biedne, poczciwe kociątko. We wszystkiem wrogo przeciw nam występujecie, gdy wczoraj nasza złotopióra kwoczka do was przypadkiem zabiegła o mało żeście jej kamieniami nie ubili. Może Phaon widział w niej także sępa strasznego z krzywym dzióbem i ostremi szpony?

— Dziewka ją wypędziła, bo od kiedy pan wasz chory i w nic wglądnąć nie może, wasz drób tylko naszem zbożem się tuczy.

— Dziwi mnie, że nie każesz nas jako rabusiów napiętnować! — zakrzyczała Semestra. — Gdybyś mnie samą laską przeciągnął, gotów byś powiedzieć, że to sucha gałąź z drzewa na grzbiet mi spadła. Znam ja was na wylot i Leonax syn Alkiphrona, dostanie naszą dzieweczkę, a nie wasz wiecznie zaspany Phaon o którym mówią, że wtedy czuwa kiedy inni w domu spoczynku szukają. Zresztą nie moja w tem wola, tylko mojego pana Lysandra, który Xanthę Leonaxowi na małżonkę przeznaczył.

Wiemy czyją on piosnkę spiewa! — zaśmiał się stary. — Daleki jestem od złego, abym bodaj jednem słowem, chciał dokuczyć biednemu choremu, ale od kiedy zasłabł, on jest twoim sługą uniżonym, a ty w domu panujesz. Zapewne, więcej znaczysz pod tym dachem, niż ktokolwiek inny, ale stokroć potężniejsza od twojej, jest władza Erosa i Aphrodity, gdyż ty panujesz za pomocą rynki, rożna i miękkiej pościeli, a tamci nieśmiertelni, rządzą mocą boską i panują wszechwładnie nad sercami.

Semestra drwiąco się uśmiechnęła, a uderzając kijkiem o twardą posadzkę, zawołała:

— Mój rożen dobrym się okaże i strzały Erosa przyjdą mu z pewnością na pomoc, gdyż Xantha tak się nie zajmuje waszym Phaonem, jak ja się nie pytałam o pewnego jegomości, który tu przedemną stoi, gdyśmy oboje młodzi byli. Eros lubi trudniejsze zadania! Co rośnie razem i spotyka się rano w południe i na wieczór, to tak przywyknie jedno do drugiego, jak nieprzemierzając, noga do trzewika, a trzewik do nogi, serce jednak nietkniętem zostanie. Skoro jednak ukaże się pannie piękny nieznajomy, z włosem utrefionym, drogiemi olejkami woniejącym, w szatach bogatych, figlarny synek bogini miłości, wkłada w łuk złotą strzałę, i rani śmiertelnie serduszko dziewicze.

— Nie wypuści atoli strzały — wtrącił Jason — wiedząc iż już jedna w tem sercu utkwiła. Każdy może się starać o każdą dziewczynę, tylko nie o taką, która innego obraz pieści w swojem łonie.

— Posiwiały w kawalerskim stanie weteran mówi z własnego doświadczenia! — szybko a złośliwie odrzuciła Semestra. — A wasz Phaon! Czyżby doprawdy wzdychał do naszej dzieweczki. Jakżesz mógł w takim razie starać się sam o inną, czy pozwolić się o nią starać, co na jedno wychodzi? Ale szkoda tyle słów marnować! Masz wiedzieć iż ja lepiej trochę znam Xanthę od ciebie. Ona tak nie pociąga i nie tęskni za swoim towarzyszem lat dziecięcych, jak temu słupowi po lewej stronie, obojętny słup po prawej stronie ogniska, chociaż dość długo pod jednym dachem stoją.

— Czy ty wiesz co marmur czuje?

— Nic Jasonie, nic z pewnością, to jest tyle właśnie, ile w sercu Xanthy, mieści się uczucia dla Phaona. Ale co to za hałas słychać przed domem?

Klucznica mówić nie skończyła, gdy drzwi odchylając wsunęła głowę Dorуppa i zawołała:

— Czy wolno już? Jest posłaniec od Protarcha.

— Wpuścić go! — rozkazała Semestra z naciskiem i na progu komnaty ukazały się obie dziewki, a pomiędzy niemi Mopsus brat wesołej Chloris. Siostra uwiesiła mu się u ramienia, zdejmując drugą ręką kapelusz podróżny z kresą szeroką, z jego bujnych, ciemnych kędziorów, Doryppa zaś szła z tyłu i popchnęła wahającego się na progu młodzieńca na środek komnaty, jak się czółno od brzegu, na pełne morze odtrąca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy.)

Wzruszenie i niepokój, tak był widoczny w całej postawie Oswalda, że biedna matka zaczęła nabierać strasznej pewności, gdzie dotąd tylko przeczucie nieokreślone, pierś jej ściskało. Wpatrzyła się w niego przenikliwie, i spytała, zamiast odpowiedzieć:

— Czemu Edmund sam pojechał? I co się znaczyło jego ze mną... pożegnanie? Ty to wiesz Oswaldzie!

— Nie wiem o niczem, obawiam się jednak najgorszego, po okropnej scenie, którą mi Edmund dziś rano wyprawił. Zrobił z tymi panami zakład szalony! Pojechał przez Jeleni Skok gdzie ma być ślizgo okropnie; barjery zawalone; a do tego, na jego wyraźny rozkaz, założono mu do saneczek ową parę, która raz już była przyczyną tak strasznego wypadku. Tu o śmierć lub życie się rozchodzi, i dla tego chcę wiedzieć całą prawdę. Czy Edmund wie, co ów pakiet zawierał?

Na pół stłumione „tak“ wyrwało się ze ściśnionej piersi hrabiny. Tem jednem słówkiem przyznawała się do wszystkiego; oddawała się na łaskę i niełaskę, swojemu wrogowi, jednak ani na chwilę nad tem się nie zastanowiła. Gdzie szło o życie, lub śmierć jej syna, czyż mogła wahać się matka?! Czyż miała czas myśleć o tem, co ją osobiście zgubić może?!

— Boże miłosierny! — Oswald zawołał — w takim razie Edmund coś strasznego postanowił! Teraz wszystko rozumiem!

Hrabina krzyknęła przeraźliwie; I jej nagle jasno się zrobiło; i ona zrozumiała to spojrzenie łzawe, błagalne... stanowiące ostatnie przed śmiercią pożegnanie!

— Muszę lecieć za nim! — Oswald silnie za taśmę od dzwonka pociągnął — tu niema jednej chwili do stracenia!

— Ja z tobą! — nieszczęśliwa matka śmiertelnie blada uczepiła się jego ramienia. Za nadto jednak siłom swoim zaufała. Zachwiała się, i byłaby upadła, gdyby nie był jej Oswald zatrzymał, i złożył ostrożnie na kanapie.

— Niepodobna kochana stryjenko! — odrzekł z niezwykłą u niego czułością i łagodnością. — To nie dla ciebie! Zresztą wszystkie sanki zabrano. Ja skoczę na konia, tym jednym sposobem mogę go jeszcze dopędzić.

Zwrócił się do wchodzącego Eberharda.

— Osiodłać mi złotego kasztana, tylko prędko! abym mógł za Edmundem pogonić.

Staruszek wyleciał jak piłka. I on przeczuwał, że jego ukochanemu paniczowi, grozi jakieś wielkie niebezpieczeństwo.

Znowu zbliżył się do stryjenki, drżącej i szlochającej rozpaczliwie.

— Odwagi, odwagi! — rzekł cicho. — Wszak jeszcze nic nie ma straconego? Piorun jest najlepszym biegunem z całej stajni, istotnie pędzi z szybkością błyskawicy. Pojadę ścieżkami dla pieszych; ujmę więc drogi o połowę, muszę go dopędzić!

— A chociaż go i dopędzisz! — załamała ręce hrabina. — nie usłucha cię, tak samo, jak próźb moich i narzeczonej nie chciał uwzględnić!

— Mnię wysłucha! — Oswald odrzekł z głębokiem i niezachwianem przekonaniem — gdyż ja jeden mogę rozwiązać tę kwestję nieszczęsną. Gdybym był wiedział dziś zrana, o co mu właściwie idzie... nie byłoby przyszło do tego! Nie daremnie byliśmy przyjaciołmi od lat dziecięcych i to więc potrafimy między sobą załatwić i... przezwyciężyć! Ufajmy stryjenko! Może zdołam ci jeszcze syna przywrócić!

Pewność i nieustraszona odwaga Oswalda, wlała trochę otuchy i w serce matki zrozpaczone. Jak lecący w przepaść; chwyta się wiotkiej gałązki, chociaż czuje, że ta go utrzymać nie zdoła, tak i ona uczepiła się słabego promyka nadziei, którą jej Oswald zwiastował. Na słowa zdobyć się nie mogła; w jej łzawym wzroku jednak było tyle wdzięczności, a razem prośby błagalnej, że Oswald pierwszy raz w życiu, nachylił się z czcią dla tego ogromu boleści macierzyńskiej nad jej ręką, i z prawdziwem uczuciem dłoń stryjenki ucałował. W śmiertelnej trwodze o tego, którego oboje nad życie kochali, utonęła obustronnie wszelka nienawiść; uprzedzenie, a nawet pamięć krzywd i niesprawiedliwości przez tyle lat doznawanych.

Konia przyprowadzono, Oswald rzucił się na niego i jak wicher pogonił. Jemu dodawała otuchy i siły, chęć szczera ratowania Edmunda. Młodość ma to do siebie, że nigdy nie rozpacza, i ufa siłom własnym nad miarę. Hrabina atoli, zostawszy się samotna, bezczynna, i ubezwładniona; przeszła przez wszystkie męki piekielne, trwogi, oczekiwania; i tego rozpaczliwego stanu, pomiędzy bezdenną rozpaczą, a szaloną, niczem nie uzasadnioną nadzieją: „że Bóg przecie tego nie dopuści! że zmiłuje się nad nią i wróci syna, szczęście jej jedyne.“

Tak trudno sercu uwierzyć w cios niszczący wszystko co najbardziej ukochało. Słusznie baron Heideck powiedział: „Kara o wiele przewyższała winę, niegdyś w upojeniu miłośnem popełnioną.“

Nie podpadało najmniejszej wątpliwości, że Edmund drogą popędził; Ścieżki, któremi skracał sobie drogę Oswald, były tak wązkie, że ledwie doskonały koń jak Piorun i tak znakomity i nieustraszony jeździec jak Oswald, utrzymać się na nich zdołali. Dotarł wreszcie do samej góry, nie tak długiej, ile stromej nadzwyczajnie, którą Jelenim skokiem nazywano.

Nie wątpił ani chwili, że tu idzie o wstrzymanie Edmunda od czynu, który mu najwyższa rozpacz podyktowała. On jeden to potrafi, boć on tylko cierpi na tem. Przyciśnie go do piersi i powie: Skoro ja nie chcę upominać się o moje prawa, cóż komu do tego! Z serc naszych zbudujmy Arkę Przymierza, w niej zamknijmy na wieki straszną tajemnicę; świat się o niej dowiedzieć nie może, nie powinien! Odtąd ród Ettersbergów będzie miał dwóch braci, jeżeli nie po krwi, to po duchu i sercu! Wśród tych atoli marzeń o błogiej przyszłości, złowrogo brzmiały mu w uszach słowa Edmunda: „Żyć, z przeświadczeniem, że choćby najlżejszy cień padł na moją tarczę herbową, do tego sił by mi zabrakło.“

Dotąd pędził szalonym galopem; u podnóża góry musiał jednak zwolnić kroku. Koń okropnie robił bokami, droga była istotnie ślizga, wązka; barjery po nad przepaściami i urwiskami, po większej części popsute i połamane. Rzucił bacznem okiem na drogę; ślad wąziutki saneczek widniał na śniegu, wijąc się aż na szczyt góry. Więc Edmund już przejechał! Mimo całego pospiechu nie mógł go dopędzić! I to dawno musiał przejechać, skoro dzwonków nie słychać. Powoli z sercem ściśniętem złowrogiem przeczuciem, jechał coraz wyżej; rozglądając się w koło. Cisza uroczysta, cisza śmierci, zewsząd go otaczała. Ziemia drzemała pod śniegu całunem; ptak nawet żaden nie przelatywał mu nad głową; w dali jeno czerniał las sosnowy, spowity u dołu białemi szmatami mgły opadającej; a pod stopami jego wyłaniała się straszna otchłań, najeżona sterczącemi z pod śniegu odłamami skał i zasiana gdzie niegdzie karłowatemi krzakami jałowcu. Był to parów głęboki, kończący się jak wiemy bezdennem jeziorem, które teraz również milczało ścięte lodem. „Gdzież Edmund, gdzie, że go nigdzie nie widać?!“ powtarzał sobie w duchu. — „Ja go przecie muszę dogonić!“

I zobaczył wreszcie Edmunda!... Na samym szczycie, zaspa śniegowa świeżo się oberwała; śnieg był w tem miejscu okropnie kopytami końskiemi stratowany; krzaki jałowcu pogięte i połamane; a na samym dole olbrzymiego parowu cóż dojrzał wzrok wytężający?

Oto dyszały konie krwią zlane, z połamanemi nogami, a w koło nich i na nich leżały szczątki sanek pogruchotanych. O kilka kroków dalej zobaczył Edmunda na wznak leżącego; śnieg zaś pod nim rumienił się niby niebo jutrzenką poranną.

Załkał głucho i na chwilę jego nawet siły i wszelka przytomność opuściła. Wreszcie konia na los szczęścia puściwszy, rzucił się w dół brnąc w śniegu powyżej kolan i kalecząc się o ciernie i ostre kamienie.

Uklęknął obok Edmunda. Nieszczęście chciało, że padając, trafił tenże głową na ostry kant skały z pod śniegu sterczący i tą raną w tyle głowy krew buchała, zafarbowując śnieg na około.

Podłożył ostrożnie płaszcz zwinięty pod głowę Edmunda i próbował chustką krew zatamować. Długo, długo, nie mógł tego dokazać, wreszcie, po chwili śmiertelnego oczekiwania, krew już tylko kroplami się sączyła, ranny otworzył oczy. Zrazu wzrok jego zamglony, zdawał się nic nie widzieć, i nikogo nie poznawać; dopiero na głos Oswalda, na jego pytania pełne trwogi i czułości; wracał powoli do przytomności.

— Oswaldzie! — próbował się uśmiechnąć.

Był to znowu dawny ton serdeczny przyjacielski którym od lat dziecięcych przemawiał do nierozłączonego towarzysza. Wszelka gorycz znikła; rozdrażnienie ustało. Twarz blada wyrażała boleść niemą i cichą rezygnację; zresztą rysy jego były całkiem spokojne.

— Czemuś mi to bracie uczynił! — wybuchnął Oswald płaczem serdecznym. Od kiedy klęczał sierotą przy rodziców katafalku, pierwsze to łzy z ócz jego wytrysły. — Czemuś nie miał do mnie zaufania? Dlaczego teraz dopiero musiałem się dowiedzieć, co cię o śmierć przyprawia! Pędziłem bez tchu za tobą... o spóźniwszy się niestety! ledwie o kilka minut.

Powieki opadające podniosły się z wysiłkiem u rannego.

— Wiedziałeś? — spytał drżącym głosem, wlepiając gasnące oczy w Oswalda.

— O wszystkiem!

— A więc zdołasz mnie pojąć. — Edmund szeptał zbierając sił ostatek. — Kłamać przed tobą nawet, nie módz znieść twojego wzroku, to mi już było za ciężko! Wszystko się skończyło... Dziś jeszcze zostaniesz Ordynatem na Ettersbergu...

Ceną twojej krwi! twojego życia młodego! — zawołał Oswald z rozpaczą. — Dawno znam tę nieszczęsną tajemnicę; miniatura była w moim ręku, nim tyś się o jej istnieniu dowiedział. Pamiętasz, jak cię wtedy gwałtownie od biurka odciągnąłem; wiedząc że toby cię zabić musiało. I na nic ofiara, którą ci wtedy niosłem! Wszystko na nic! wszystko nadaremnie! Jedno słowo szczere z twoich ust dziś rano, a bylibyśmy we dwóch zażegnali nieszczęście.

— Nie bracie, nie. — Edmund potrząsł głową zaprzeczająco — nic by to nie było pomogło. Nie mogłem znieść tego kłamstwa wiecznego; nie mogłem żyć z piętnem hańby na czole. Świat o tem wprawdzie nie wiedział, ale mnie ono piekłem w sercu paliło! Próbowałem... tygodniami, miesiącami całemi! Nie mogłem, nie! Nie wiesz com ja wycierpiał podczas tej strasznej walki! Teraz wszystko będzie dobrze... Ty wejdziesz w twoje prawa, a cześć matki mojej zostanie nietkniętą!... Innego rozwiązania nie było!..

Oswald trzymał na łonie umierającego. Widział,

że wszelka pomoc nadaremna. Krew sączyła się obficie a z nią resztki życia uciekały. Mógł jedynie ostatnie słowa z ust stygnących pochwycić i jako najdroższą spuściznę w sercu przechować.

Mojej matce... powiedz... kochałem... ją... nad wszystko tylko... nie nad honor... zhańbiony... żyć nie mogłem.. nawet... dla... niej... żegnaj, mi... bracie... Oswal..

Nie skończył. Głos ucichł; piękne czarne oczy mgła śmiertelną zaszły i białe, straszne, nieruchome, zdawały się jeszcze wpatrywać w Oswalda. Za chwilę stygnące, martwe zwłoki tulił do serca. Ustami od bolu drgającemi przymknął bratu powieki; dotknął się czoła jasnego, dumnego, które „z piętnem hańby żyć nie potrafiło," a wśród głuchej pustyni, która go zewsząd otaczała nikt nie usłyszał bolesnej skargi rzuconej niebiosom i pytania rozpaczliwego:

— Boże wszechmogący! Czyż istotnie potrzeba Ci było tak krwawej ofiary

---

Dwa razy jaskółki odleciały i powróciły, odkąd złożono zwłoki Edmunda w ponurym grobowcu panów na Ettersbergu. Obecnie lot ich chyży po raz trzeci wiosnę ziemi zwiastował. Jak ziemia budząc się powoli do życia po śnie zimowym; okryła się zielenią, i tęczowemi barwami; tak i z zimnego grobu, z owych łez, płynących strumieniem nad zabitym, budziło się nowe życie, wykwitała nadzieja szczęścia dla dwojga serc młodych i wiernych swoim uczuciom.

Śmierć młodego hrabiego, wywołała we wszystkich sferach, najwyższe przerażenie i najgłębsze współczucie. Okropny wypadek, nie mniej jak i osobistość nader sympatyczna Edmunda, przyczyniły się wielce do żalu ogólnego. Tak piękny i młody; bogaty i szczęśliwy; w przededniu wesela; przed wejściem do raju, którego bramy z róż ręka najżywszej, wzajemnej miłości otwierała; zginął tak marnie! I dlaczego? Dla lekkomyślnego zakładu; podyktowanego butą młodzieńczą; i tą szaloną pewnością, że jest wybrańcem losu, dzieckiem szczęścia, że jemu wszystko się udać musi!

— Jak był wesołym, jak porywającym tego dnia nieszczęsnego, przed samą katastrofą! — powtarzali na wyścigi, ci, co go wtedy otaczali i do śmierci bezwiednie dopomogli. Nikt ani się domyślał, jaką tragedję, kryła ta wesołość! Edmund dopiął celu. Cześć matki ocalała, a prawdziwy Ordynat wszedł w swoje prawa

W Ettersberg inaczej teraz wszystko wyglądało. Hrabia Oswald ujął rządy żelazną dłonią; we wszystko sam wglądał; cały personal zmienił dobierając ludzi młodych i energicznych, jak on sam. Ogromne sumy, które wydawano na utrzymanie domu, obracał na ulepszenie gospodarstwa. Dość że po dwóch już latach, taki ład w całych dobrach zaprowadził, że Ettersberg co do wzorowej administracji, na równi z Brunneck stawiano.

Nie olśniła go bynajmniej tak nagła i niesłychana zmiana losu. Z dziwnym spokojem zniósł swoją wielkość jak niegdyś i dumnem milczeniem zbywał wszelkie upokorzenia i krzywdy mu wyrządzane. Kariera prawnicza skończyła się, za nim ją rozpoczął; wdzięczność jednak zachował w głębi serca dla starego swojego przyjaciela i z domem państwa Braun stosunki zawsze były równie serdeczne.

Nowy Ordynat żył dotąd bardzo samotnie. Nigdzie nie bywał i nikogo u siebie nie podejmywał. Zrazu tłumaczono to sobie żałobą po zmarłym towarzyszu i krewnym najbliższym; gdy jednak dwa lata minęły, a w trybie życia Oswalda żadna zmiana nie przychodziła, zaczynało to niepokoić całą okolicę. Tak świetna partja, jaką był Ordynat na Ettersbergu, nie mogła przejść niepostrzeżenie. W niejednym domu snuto plany, jakby Oswalda do córeczki przyciągnąć; nie jedna piękność, która dawniej dla biednego krewnego, ani okiem nie rzuciła, znajdując go brzydkim i niezgrabnym; z biciem serca myślała, jakby to było dobrze zostać hrabiną Ettersberg.

Tak samo ożywiły się nadzieje, i płci męzkiej co do pięknej i bogatej jedynaczki w Brunneck. Mimo iż wiedziano jak szalona miłość, złączyła te dwa młode serca nie przypuszczano iżby czasem, ośmnastoletnia dziewczyna, nie miała straty narzeczonego przeboleć i zapragnąć nowych uczuć i nowego szczęścia.

Jak w Ettersberg, tak i w Brunneck wszelkie nadzieje były dotąd nadaremne. Oswald systematycznie unikał wszelkiego towarzystwa, a panna Rüstow w kilka tygodni po śmierci Edmunda wyjechała z hrabiną Emmą do Nicei, gdzie przeszło dwa lata bawiły i teraz dopiero powracały. Zgon nagły syna, zadał i matce cios śmiertelny. Kilka tygodni obawiano się o jej zmysły; wreszcie uspokoiły się nieco gwałtowne wybuchy rozpaczy; cicha jednak boleść i rezygnacja, która po nich nastąpiła; niszczyła widocznie siły, podkopywała zdrowie: lekarze więc uradzili, żeby dla rozerwania myśli i poratowania piersi zaatakowanych, wyjechała pod niebo łagodniejsze i cieplejsze. Wszyscy podziwiali ofiarność Jadwigi, która dla matki narzeczonego wyrzekła się kraju, opuściła ojca na czas tak długi i lata całe spędzała z osobą chorą i zrozpaczoną. Nikt się nie mógł domyśleć, że tu szło głównie o przestrzeń, tak daleką, aby chwilowo przynajmniej była tamą dla wszelkich nadziei i stosunków z ukochanym które sama Jadwiga uważała za niemożebne, i obrażające, nie tylko cześć winną zmarłemu, lecz nawet uczucie światowej przyzwoitości.

Tęsknota ojca i narzekania w każdym liście, „że tak długo pozbawiony jest widoku swojej najdroższej jedynasi" skłoniły wreszcie hrabinę do powrotu. Radca uszczęśliwiony wyjechał aż do granicy i ztamtąd już paniom towarzyszył. Hrabina udała się wprost do Schönfeld, Jadwigę ojciec zabrał do domu.

Znowu zastajemy nazajutrz po przyjeździe Jadwigi,

pannę Linę i radcę w saloniku z balkonem. Tym razem pan Rüstow był w złotym humorze. Cieszył się córką, jakby czemś zupełnie nowem; nie mógł się nagadać, jak wyrosła, wypiękniała; i w towarzystwie hrabiny urobiła się na osobę prawdziwie dystyngowaną, nic przytem nie straciwszy, z dawnej lubości i serdeczności. Skończył wreszcie długi wywód zapewnieniem: „Że teraz, choćby kto na głowie stanął, on swojej pieszczoszki nie puści z domu.“

Panna Lina była wyjątkowo tego samego co pan radca zdania, co do wszelkich doskonałości Jadwini; tylko końcowy frazes wywołał sarkastyczny uśmiech na jej usta. Potrząsła głową i rzekła z naciskiem:

— O tem nie możesz mówić z taką pewnością kuzynku. Kto wie czy i tu w Brunnek, nie zajrzą ci i nie odbiorą wyłącznego posiadania Jadzi?

— O! bardzo to sobie wypraszam! — radca skoczył w górę ze zwykłą żywością. — Nie wątpię, że hrabina rada by ją znowu złapać do Schönfeld, ale i ojciec spodziewam się! ma jakieś prawa do swojego dziecka! Dość długo jej nie widziałem, teraz więc nikomu jej nie ustąpię!

Lina znowu znacząco się uśmiechnęła:

— Hrabia Oswald — spytała — był zapewne na stacji, jakieście państwo zajechali?

— Naturalnie że był! Bardzo ładnie i delikatnie z jego strony, że przyjechał aby stryjence do Schönfeld towarzyszyć. No, przytem, chciał i z Jadzią się przywitać.

— Taak! przytem, przy wydarzonej okazji! — Lina ironicznie zauważyła.

— Przedtem — mówił radca dalej — Oswald nie szczególnie zgadzał się ze stryjenką. Odkąd ją jednak taki cios spotkał, nic mu zarzucić nie można. Jest dla biednej kobiety z czułością i uszanowaniem jakby dla matki rodzonej. W ogóle zmienił się nie do poznania. Potrafi nawet być nadskakującym i ujmującym. A co się tyczy jego gospodarstwa...

Jest to genjusz na polu agronomicznem — wpadła mu Lina w słowo — o tem wiemy przecież od dawna. Odgadłeś w nim ten przymiot, kiedy nikomu się nie śniło, aby został kiedyś Ordynatem i gospodarzem.

— Byłaby to istotnie niesprawiedliwość o pomstę do nieba wołająca — odrzekł radca — z powagą uroczystą gdyby los przekorny był zmusił tego człowieka zostać gryzipiórkiem i krętaczem. Stworzony na gospodarza! Dziś jeszcze śmiać się muszę, gdy pomyślę, jak on pędził to całe tałatajstwo z Ettersberg jak rzucał balast po balaście z tonącego okrętu; jak potem zakasał rękawy i wziął się z kopyta do roboty. Nawet ja w kąt! Co to za umysł twórczy! jaka we wszystkiem praktyczność! Ani myślałem, żeby we dwa lata, można dokazać czegoś podobnego i przyprowadzić do porządku takie szotro zrujnowane! No, właściwie powinienbym się gniewać. Dotąd Brunneck był cytowany, jako majątek najlepiej urządzony; teraz kto wie czy nie pokusi się Ettersberg o pierwszeństwo.

— Boję się żeby hrabia Oswald i o co więcej się nie pokusił i nie chciał ci odbierać — wtrąciła Lina z uśmiechem. — Ty jednak zniesiesz to cierpliwie Erychu. Wszak hrabia był od dawna twoim zdeklarowanym ulubieńcem!

— I dotąd zdania nie zmieniłem!

Ma jednak i on wadę. Nie chce myśleć o żeniaczce! Trzydziestkę kończy; ostatnia to latorośl starożytnego rodu Ettersbergów; cała okolica tem zaniepokojona. Muszę ja z nim o tej ważnej kwestji na serjo pomówić.

— Dałbyś sobie pókój! — panna Lina głową potrząsła. — Wcale namawiać go do tego niepotrzebna a najmniej stosownem byłoby to z twojej strony.

Radca nie zrozumiał ukrytego tych słów znaczenia. Wziął to za niedowierzanie jego zdolnościom dyplomatycznym i swadziebnym; odparł też gniewnie z widocznem rozdrażnieniem.

Myślisz zapewne, że tylko wy kobiety swatać potraficie! Otóż dowiodę ci, że i my tego dokazać możemy! Oswald bardzo chętnie zasięga mojego zdania i takowe wielce szanuje.

— Nie unoś że się tak zaraz! Nie wątpię, że twoje zdanie wiele znaczy u hrabiego Oswalda; jestem nawet silnie przekonaną, że tylko za twojem pozwoleniem ożenić się zechce. I znowu się obrażasz! Ja tego bynajmniej nie mówię na żarty, ale zupełnie na serjo... A! otóż i hrabia zajeżdża! Wiedziałam że dzisiaj tu będzie.

— Skąd do licha o tem wiedzieć mogłaś?! — rzucił się radca, nieuspokojony dotąd po owym — jak mu się zdawało — niewczesnym żarcie kuzynki. Czy ty się kiedy troszczysz; czy ty aby wiesz, że przyszła moja lokomobila?

— Jaka lokomobila?

— Najnowszy, nader praktyczny wynalazek! Właśnie ją sobie ze stolicy sprowadziłem. Tobie bo o tem mówić to tyle znaczy, co ślepemu prawić o kolorach; ale Oswald, któremu wczoraj o niej na dworcu opowiadałem, był moją maszyną uniesiony i nie posiadał się z ciekawości tejże oglądania. Widzisz jak się pośpieszył.

Panna Lina musiała mieć specjalne przekonania, co do owego pospiechu; gdyż ściągnęła tylko w milczeniu litościwie ramionami; radca zaś wybiegł pędem, aby przyjąć na dole swojego ulubieńca. Za chwilę weszli obydwaj do salonu.

(Dokończenie nastąpi).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.